

Julian Fellowes
BELGRAVIA



— 1 —

Bal w przededniu bitwy

JULIAN FELLOWS

Belgravia

Konsultacja historyczna
Lindy Woodhead

Redakcja merytoryczna
Imogen Edwards-Jones

Przełożyła
Anna Bańkowska

WYDAWNICTWO MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

BELGRAVIA, odcinek 1

Tytuł oryginału BELGRAVIA

Przekład ANNA BAŃKOWSKA

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA

Redakcja DOMINIKA CIEŚLA-SZYMAŃSKA

Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ

Projekt okładki The Orion Publishing Group

Adaptacja okładki ANNA POL

Copyright © for the translation by Anna Bańkowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2016

Warszawa 2016

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65586-08-7

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a,

01-540 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Belgravia

First published in Great Britain in 2016 by Weidenfeld & Nicolson

Copyright © The Orion Publishing Group Limited 2016

JULIAN FELLOWES'S is an unregistered trade mark of Julian Fellowes and is used by The Orion Publishing Group Limited under licence BELGRAVIA is a registered trade mark of The Orion Publishing Group Limited

Lindy Woodhead była odpowiedzialna za konsultację historyczną podczas powstawania *Belgravii* Juliana Fellowesa

Imogen Edwards-Jones zajęła się redakcją merytoryczną podczas powstawania *Belgravii* Juliana Fellowesa

The right of Julian Fellowes to be identified as the author of this work has been asserted in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana, przechowywana w systemie wyszukiwania informacji ani przekazywana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy, ani w inny sposób rozpowszechniana w innej niż ta, w której została opublikowana.

Wszystkie postaci występujące w książce są fikcyjne i jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób żywych lub martwych jest czysto przypadkowe.

1

Bal w przededniu bitwy

Przeszłość, jak wielokrotnie nam powtarzano, to obca kraina, gdzie wszystko dzieje się inaczej. Może to i prawda... tak, rzeczywiście jest to prawda, gdy chodzi o moralność czy obyczaje, rolę kobiet, rządy arystokratów i mnóstwo innych elementów naszego codziennego życia. Ale istnieją też podobieństwa. Ambicja, zazdrość, gniew, chciwość, dobroć, altruizm i nade wszystko miłość zawsze tak samo potężnie oddziaływały na ludzkie wybory jak i dzisiaj. Oto opowieść o ludziach sprzed dwóch wieków: wynika z niej, że wiele pragnień, resentymentów i namiętności rozpalało ich serca tak samo jak dramaty rozgrywające się na nasz własny sposób, w naszych własnych czasach...

Nie wyglądało to na miasto u progu wojny, a jeszcze mniej na stolicę kraju, który zaledwie trzy miesiące wcześniej został oderwany od jednego królestwa i zaanektowany przez inne. Bruksela w czerwcu 1815 roku mogłaby równie dobrze być *en fête*: przy kolorowych straganach na targach trwał ożywiony handel, szerokimi ulicami sunęły jaskrawo wymalowane otwarte powozy ze swoim cargo wielkich pań i ich córek, śpieszących się, by sprostać pilnym obowiązkom towarzyskim. Nikt by nie odgadł, że

cesarz Napoleon jest już w drodze i lada moment rozbije obóz na obrzeżach miasta.

Nie interesowało to specjalnie także Sophii Trenchard, która zdecydowanie przepychała się przez tłum, co raczej nie pasowało do jej osiemnastu lat. Jak każdej dobrze wychowanej pannie, zwłaszcza w obcym kraju, towarzyszyła jej pokojowa. Dwudziestodwuletnia Jane Croft, starsza od swojej pani o cztery lata, miała osłaniać ją przed poszturchiwaniem przechodniów, ale prędzej można by przypisać tę rolę Sophii, która wyglądała na osobkę gotową na wszystko. Była ładną, nawet bardzo ładną, klasyczną angielską niebieskooką blondynką, ale zacięte usta wyraźnie świadczyły o tym, że ta panienka nie oglądałaby się na pozwolenie od mamy, by rzucić się w wir przygody.

– Pośpiesz się, on zaraz wyjdzie na lunch i cała nasza wyprawa pójdzie na marne!

Znajdowała się w tym okresie życia, przez który musi przejść prawie każdy, kiedy dzieciństwo ma się już za sobą, a fałszywa, niewsparta doświadczeniem dojrzałość budzi złudne poczucie wszechmocy, co wyjdzie na jaw dopiero wraz z nadejściem prawdziwej dorosłości.

– Już szybciej nie mogę, panienko – mruknęła Jane. Jakby na poparcie tych słów jakiś huzar w pośpiechu pchnął dziewczynę w tył i nawet nie zatrzymał się, by sprawdzić, czy nic jej się nie stało. – To istne pole bitwy. – Wprawdzie Jane nie dorównywała urodą swojej młodej pani, ale miała żywą rumianą twarz, bardziej pasującą do wiejskich opłotków niż ulic wielkiego miasta.

Była też na swój sposób dość zdeterminowana i młoda pani ją za to lubiła.

– Nie bądź taką niezdara!

Sophia już prawie dotarła do celu. Właśnie skręciła z głównej ulicy na dziedziniec, który mógł kiedyś służyć za targ bydła, ale teraz zaanektowało go wojsko na coś w rodzaju składu zapasów. Z wielkich furgonów wyładowywano tu skrzynie, worki i pudła, które natychmiast odnoszono do otaczających plac magazynów. Nieustannie też przesuwiał się wtedy strumień

oficerów ze wszystkich regimentów. Panowie kręcili się w grupkach po placu, pogrążeni w dyskusjach, czasem nawet w kłótniach. Pojawienie się w takim miejscu młodej panny z pokojową od razu zwróciło ich uwagę, przerywając na chwilę rozmowy.

– Proszę sobie nie przeszkadzać – odezwała się Sophia, tocząc wokoło chłodnym spojrzeniem. – Przyszedłam zobaczyć się z ojcem, panem Trenchardem.

– A zna pani drogę? – spytał jakiś młodzieniec.

– Tak, dziękuję.

Ruszyła w stronę nieco bardziej reprezentacyjnego wejścia do głównego budynku i razem z roztrzęsioną Jane weszła na piętro. Także i tu zastała kilku oficerów, wyraźnie oczekujących w kolejce, ale Sophii ani się śniło podporządkowywać takim rygorom.

– Poczekaj tu – przykazała Jane i pchnęła drzwi do gabinetu.

Dziewczyna cofnęła się posłusznie, mile polectana zainteresowaniem mężczyzn.

Pokój, w którym znalazła się Sophia, choć duży i jasny, z eleganckim mahoniowym biurkiem i dobranymi stylem innymi meblami, był raczej typowym pomieszczeniem handlowym, nie salonem, miejscem pracy, nie rozrywki. W jednym kącie zażywny jegomość po czterdziestce besztął oficera w wytwornym mundurze:

– Kogo znów diabli nio... – Obrócił się na pięcie, ale na widok córki od razu złagodniał i jego czerwoną z gniewu twarz rozjaśnił uśmiech. – No co tam?

Dziewczyna zerknęła na oficera i ojciec skinął głową.

– Kapitanie Cooper, musi mi pan wybaczyć.

– W porządku, Trenchard...

– Tren-chard?

– Panie Trenchard. Ale musimy mieć tę mąkę do wieczora. Mój dowódca kazał mi przyrzec, że się bez niej nie pokażę.

– A ja przyrzekam wypełnić jak najlepiej to, co do mnie należy.

Wyraźnie poirytowany oficer musiał się z tym zgodzić, wiedząc, że nic więcej nie uzyska. Skłonił się i wyszedł, zostawiając ojca sam na sam z córką.

– Masz je? – spytał z wyczuwalną niecierpliwością. Było coś rozbrajającego w tym jego entuzjazmie: korpulentny, łysiejący pan i władca aż kipi z ekscytacji, jak dziecko w wigilię Bożego Narodzenia.

Bardzo wolno, smakując tę chwilę do ostatniej kropli, Sofia otworzyła woreczek i ostrożnie wydostała kilka białych kartoników.

– Trzy. Dla ciebie, dla mamy i dla mnie.

Prawie wyrwał kartoniki z jej dłoni. Gdyby nie jadł i nie pił przez miesiąc, nie mógłby się bardziej niecierpliwić. Kaligraficzny druk wyglądał prosto i elegancko:

Księżna Richmond

Wieczór tańczący

23 Rue de la Blanchisserie

Czwartek 15 czerwca 1815

Powozy od trzeciej. Tańce od dziesiątej

Wpatrywał się w bilecik, jakby nie wierzył własnym oczom.

– Przypuszczam, że lord Bellasis będzie na obiedzie?

– Ona jest jego ciotką.

– Rzeczywiście.

– Ale obiadu nie przewidują. To znaczy takiego normalnego. Tylko dla rodziny i stałych gości.

– Zawsze mówią, że obiadu nie ma, ale i tak jest.

– Chyba nie sądziłeś, że nas zaprosi?

Marzył o tym, ale jednak się nie spodziewał.

– Nie, nie. Jestem zupełnie ukontentowany.

– Edmund mówi, że po północy przewidziana jest kolacja.

– Tylko nie nazywaj go Edmundem przy obcych. – Mimo to nastrój wyraźnie mu się poprawił, a chwilowe rozczerowanie pierzchnęło na myśl o tym, co jeszcze ich czeka. – Musisz już wracać do matki. Będzie potrzebowała każdej minuty, aby się przygotować.

Młodość i nieuzasadniona pewność siebie nie pozwalały Sophii uświadomić sobie ogromu swojego sukcesu. Zarazem jednak miała w tych sprawach więcej doświadczenia niż jej zapatrzony w wyższe sfery ojciec.

– Już za późno na nową kreację.

– Ale nie za późno, by dostosować się do obowiązujących wymogów.

– Mama nie zechce tam jechać.

– Pojedzie, bo tak trzeba.

Sophia już wychodziła, ale nagle sobie o czymś przypomniała.

– Kiedy jej powiemy?

Zaskoczony pytaniem ojciec zaczął bawić się dewizką od zegarka. Nastąpił dziwny moment. Niby wszystko było jak przedtem, a jednak ton i istota rozmowy się zmieniły. Dla każdego, kto obserwowałby ich z boku, stałoby się jasne, że chodzi o coś znacznie poważniejszego niż wybór kreacji na bal.

– Jeszcze nie teraz – padła w końcu zdecydowana odpowiedź. – Wszystko musi iść swoim trybem: to do niego należy pierwszy krok. A teraz idź. I przyslij mi z powrotem tego krety.

Sophia spełniła jego polecenie, ale James Trenchard po jej wyjściu wciąż zdawał się czymś dziwnie zaabsorbowany. Z ulicy dobiegały krzyki, więc zbliżył się do okna i patrzył, jak jakiś oficer wyklóca się z handlarzem.

Wtem drzwi się otworzyły i wszedł kapitan Cooper. Trenchard powitał go skinieniem głowy. Czas wracać do pracy.

Sophia miała rację: matka nie chciała jechać na bal.

– Zaprosiła nas tylko dlatego, że ktoś jej sprawił zawód.

– A co to za różnica?

– Jakoś mi niezręcznie... – Pani Trenchard kręciła bez przekonania głową. – Przecież nie znamy tam żywej duszy.

– Papa zna.

Kiedyś Annę Trenchard irytowały jej własne dzieci. Przy całej swojej protekcjonalności tak mało wiedziały o życiu! Pobłażliwy ojciec rozpieszczał je od najmłodszych lat, aż wreszcie uznały swoje jedwabne życie za coś naturalnego i nie zaprzętały sobie nim głowy. Nie miały pojęcia o kamienistej drodze, którą ich rodzice musieli pokonać, aby dochrapać się swojej obecnej pozycji, ale ona, ich matka, pamiętała każdy krok.

– Zna najwyżej kilku oficerów, którzy przekazują mu w biurze rozkazy. Ci z kolei mogą się zdziwić, że spotykają na sali balowej człowieka, który zaopatruje ich w chleb i piwo.

– Mam nadzieję, że nie będziesz rozmawiać w ten sposób z lordem Bellasisem.

Twarz pani Trenchard złagodniała nieco.

– Moja droga... – rzekła, ujmując rękę córki w obie dłonie. – Nie buduj zamków na lodzie.

Sophia wyszarpnęła ze złością palce.

– Oczywiście nie wierzysz, że jest zdolny do poważnych zamiarów.

– Przeciwnie, uważam lorda Bellasisa za człowieka honoru. I do tego bardzo sympatycznego.

– No to dobrze.

– Ale jest też jedynym synem hrabiego, moje dziecko, ze wszystkimi konsekwencjami związanymi z tą pozycją. Nie może wybrać sobie żony, kierując się tylko sercem. Nie gniewam się na ciebie, oboje jesteście młodzi, przystojni, a ta odrobina flirtu żadnemu z was nie zaszkodziła... na razie. – Nacisk na ostatnie dwa słowa jasno wskazywał, do czego zmierza. – Ale trzeba położyć temu kres, zanim ludzie zaczną gadać, bo inaczej, Sophio, tylko ty na tym ucierpisz, nie on.

– A to, że zdobył dla nas zaproszenia na bal u swojej ciotki, nic ci nie mówi?

– Mówi tyle, że jesteś śliczną panienką, więc chciał ci sprawić przyjemność. W Londynie to by nie przeszło, ale w Brukseli, w obliczu wojny, zwykłe zasady nie mają zastosowania.

Ta ostatnia uwaga zirytowała Sophię jeszcze bardziej.

– Chcesz powiedzieć, że według tych „zwykłych” zasad nie uznano by nas za odpowiednie towarzystwo dla przyjaciół księżnej?

Pani Trenchard miała na swój sposób równie silny charakter jak jej córka.

– Tak, to właśnie chciałam powiedzieć, i dobrze wiesz, że mam rację.

– Papa by się z tym nie zgodził.

– Twój ojciec przebył pomyślnie długą drogę, dłuższą, niż ktokolwiek sobie wyobraża, i dlatego nie widzi naturalnych barier, które nie pozwolą mu zejść wyżej. Ciesz się tym, co masz, i bądź dumna, że tak świetnie sobie poradził.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła pokojowa pani Trenchard z suknią na wieczór.

– Nie za wcześnie, psze pani?

– Nie, nie, Ellis, wejdź. Skończyłyśmy już, prawda?

– Skoro tak uważasz, mamó...

Sophia opuściła pokój, ale jej uniesiony podbródek świadczył, że bynajmniej nie uważa się za pokonaną.

Ellis krzątała się po pokoju w wymownej ciszy. Było oczywiste, że dziewczyna aż płonie z ciekawości i chce dowiedzieć się, o co chodziło w tej kłótni, ale Anna pozwoliła jej jeszcze przez kilka minut tonąć w domysłach. Dopiero kiedy pokojowa kończyła rozpinać jej popołudniową suknię, tak aby zsunęła się z ramion, pani Trenchard zdecydowała się przerwać milczenie:

– Dostaliśmy zaproszenie na bal u księżnej Richmond piętnastego czerwca.

– No nie! – Mary Ellis opanowała już prawie sztukę zachowywania swoich uczuć dla siebie, ale ta zdumiewająca nowina okazała się ponad jej siły. Szybko jednak się pozbierała. – Skoro tak, psze pani, trzeba podjąć decyzję w sprawie sukni. Potrzebuję czasu na przygotowanie.

– Co powiesz na tę z szafirowego jedwabiu? Nie nosiłam jej zbyt często w tym sezonie. Może znajdzie się trochę czarnej koronki do obszycia dekoltu i mankietów, to powinno dodać jej szyku.

Anna Trenchard była kobietą praktyczną, ale niecałkowicie pozbawioną próżności. Zachowała dobrą figurę, a przy zgrabnym profilu i kasztanowych włosach z pewnością mogła uchodzić za przystojną; nie pozwalała jednak, aby świadomość własnej urody uderzyła jej do głowy.

Ellis uklękła, by przytrzymać jej gotową do wciągnięcia od dołu taftową suknię koloru słomki.

– A biżuteria? – spytała.

– Nie myślałam o tym jeszcze. Pewnie włożę to, co mam.

Obróciła się tyłem, żeby pokojówka mogła upiąć jej suknię złożonymi szpilkami. Owszem, była stanowcza wobec córki, ale nie żałowała tego. Sophia żyła marzeniami, podobnie jak jej ojciec, a marzenia, przy braku ostrożności, mogą ściągnąć na człowieka kłopoty. Niemal na przekór sobie Anna się uśmiechnęła. Wprawdzie powiedziała wcześniej, że James przebył długą drogę, ale czasem wątpiła, czy nawet Sophia wiedziała, jak bardzo długą.

– Pewnie to lord Bellasis wystarał się o zaproszenia? – dopytywała się Ellis, zmieniając swojej pani pantofelki.

Pytanie nie spodobało się Annie. Jak służąca śmie zastanawiać się głośno, dlaczego Trenchardowie trafili na tę iście olimpijską listę gości? I dlaczego w ogóle są gdzieś zapraszani? Postanowiła nie odpowiadać, ale mimo woli sama zaczęła rozmyślać nad ich życiem w Brukseli. Wszystko zmieniło się dla nich w chwili, gdy James zwrócił na siebie uwagę wielkiego księcia Wellingtona. To prawda: pomimo niedoborów żywności, zaciekłości walk, nędzy огоłoconych z plonów wsi jej mąż zawsze potrafił wyczarować skądś zaopatrzenie dla wojska. Książę nazywał go Magikiem,

bo też James nim był albo tylko sprawiał takie wrażenie. Ale sukces jedynie podsylił jego wygórowaną ambicję, by wspiać się na towarzyskie szczyty, i ta skłonność wciąż się pogłębiała. Syn straganiarza z targu, James Trenchard, którego ojciec Anny zabronił jej poślubić, uważał zaproszenie od księżnej za najnaturalniejszą rzecz na świecie. Mogłaby nazywać te jego ambicje śmiesznymi, gdyby nie to, że zadziwiająco często się spełniały.

Anna, córka nauczyciela, była znacznie lepiej wykształcona od męża, a kiedy się poznali, stała o niebo wyżej od niego, teraz jednak doskonale zdawała sobie sprawę, że dawno ją wyprzedził. W rzeczy samej zaczynała wątpić, czy kiedyś zdoła dotrzymać mu kroku w tej fantastycznej wspinaczce. Może, kiedy dzieci dorosną, powinna wycofać się do skromnego domku na wsi i pozwolić mu piąć się dalej na ten szczyt samemu?

Ellis oczywiście uświadomiła sobie, że popełniła nietakt; poznała to po milczeniu pani. Już chciała załagodzić sytuację jakimś miłym słówkiem, ale ostatecznie postanowiła siedzieć cicho i po prostu przeczekać burzę.

Do pokoju wszedł James.

– Ach, więc już ci powiedziała? – domyślił się, ogarnawszy wzrokiem pokój. – Zrobił to jednak!

Anna zerknęła na pokojową.

– Dziękuję, Ellis. Jeśli łaska, wróć tu za kilka minut.

Po jej wyjściu James nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Mówisz, że wynoszę się ponad stan, ale ton, jakim ją odprawiasz, przywołuje mi na myśl samą księżnę.

Anna zachnęła się.

– Mam nadzieję, że to nieprawda.

– Czemu? Masz coś przeciw księżnej?

– Absolutnie nic, a to z tego prostego powodu, że jej nie znam, podobnie jak ty. – Annie zależało, by jak najprędzej dodać nieco rozsądku do tego absurda i niebezpiecznego przedsięwzięcia. – I dlatego właśnie nie powinniśmy pozwalać, by ktoś narzucał nieszczęsnej kobiecie nasze

towarzystwo. Po co mamy się wpychać do jej zatłoczonej sali balowej i zajmować miejsce przynależne jej własnym znajomym?

James jednak był już tak podekscytowany, że nic do niego nie docierało.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Owszem, ale ty nie słuchasz.

Miała rację. Nic nie może stłumić jego radości.

– Pomyśl tylko, co to za szansa! Wiesz, że sam księżę tam będzie? A nawet dwóch książąt: mój dowódca i mąż gospodyni.

– Tak przypuszczam.

– I jeszcze księżęta krwi! – Umilkł na chwilę, bo entuzjazm niemal go rozsadzał. – James Trenchard, który zaczynał na straganie w Covent Garden, ma się szykować do tańca z księżną!

– Przecież nie poprosisz żadnej z nich do tańca. Wprawilibyś nas tylko w zakłopotanie.

– Zobaczymy.

– Mówię serio. I tak źle się stało, że podsyciłeś nadzieje Sophii.

James zmarszczył brwi.

– Ty możesz w to nie wierzyć, ale ten chłopak jest szczery. Z całą pewnością.

Anna kręciła niecierpliwie głową.

– Nie możesz być tego pewny. Może lord Bellasis uważa, że mówi prawdę, ale wciąż pozostaje poza jej zasięgiem. Nie jest panem własnej woli i nic dobrego z tego nie wyniknie.

Na ulicy rozległ się hałas i Anna podeszła do okna sprawdzić, co się tam dzieje. Okna jej sypialni wychodziły na szeroką, ruchliwą arterię. Maszerowali tamtędy żołnierze w czerwonych mundurach szamerowanych złotem, od którego odbijało się słońce. Jakie to dziwne, pomyślała: wokół szaleje wojna, a my tu sobie w najlepsze dyskutujemy o balu...

– No nie wiem. – James nie porzucał tak łatwo swoich fantazji.

Anna odwróciła się z powrotem w stronę pokoju. Jej mąż stał z miną przypartego do muru czterolatek.

– Ale ja wiem. I jeśli to w jakikolwiek sposób jej zaszkodzi, osobiście się z tobą policzę.

– Doskonale.

– A jeśli chodzi o wymuszenie na tym biedaku zaproszeń od jego ciotki, uważam to za szczyt upokorzenia.

James miał już tego dość.

– Nie popsujesz mi tego. Nie pozwolę ci.

– Nie muszę niczego psuć, to się stanie samo.

I to był koniec. James wypadł z pokoju, żeby się przebrać do obiadu, a Anna zadzwoniła po Ellis.

Nie była z siebie zadowolona. Nie chciała się kłócić, a jednak czuła, że ten incydent naruszył jej spokój. Lubiała swoje życie. Cieszyli się teraz bogactwem, sukcesami, czuli się pożądanymi członkami londyńskiego środowiska kupieckiego, ale James niszczył to wszystko, wciąż zabiegając o więcej. Ciągnął ją do coraz to nowych salonów, gdzie nikt ich nie lubił ani nie cenił, zmuszał do nawiązywania rozmów z ludźmi, którzy mniej lub bardziej jawnie nimi gardzili. A przecież teraz, gdyby tylko zechciał, mogliby żyć w atmosferze komfortu i szacunku. Niestety już rozmyślając o tym, wiedziała, że nie potrafi powstrzymać swojego męża. Nikt tego nie potrafi, bo James taki już ma charakter.

Na przestrzeni lat tyle już napisano o balu u księżnej Richmond,^[1] że można by założyć, iż dorównywał splendorem koronacji jakiejś średniowiecznej królowej. Wieczór ten doczekał się miejsca w każdym rodzaju literatury, a każde jego wyobrażenie zdawało się prześcigać wspaniałością poprzednie. Malowidło Henry’ego O’Neilla z roku 1868 przedstawia bal w ogromnym, zatłoczonym pałacu z rzędami marmurowych kolumn. Setki wytwornych gości, płaczących z żalu i grozy, prezentują się efektowniej niż rewia na Drury Lane. Ale jak wiele

ikonicznych momentów w historii, rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej.

Księstwo Richmond przybyli do Brukseli częściowo ze względu na niższe niż w Anglii koszty utrzymania, ale także na znak solidarności z ich wielkim przyjacielem księciem Wellingtonem,^[2] który wybrał sobie to miasto na kwaterę główną. Sam Richmond, jako były żołnierz, miał otrzymać zadanie zorganizowania obrony Brukseli, gdyby doszło do najgorszego, czyli inwazji nieprzyjaciela. Wyraził na to zgodę. Wiedział, że czeka go głównie praca administracyjna, którą jednak należało wykonać i która dawała mu miłe uczucie satysfakcji z udziału w wysiłku wojennym. Dzięki temu nie powiększał rzeszy biernych obserwatorów, jakich pełno widziało się w mieście.

Brukselskie pałace, i tak nieliczne, były już przeważnie pozajmowane, toteż ostatecznie księstwo Richmond zdecydowali się zamieszkać w dawnej rezydencji modnego fabrykanta powozów przy Rue de la Blanchisserie, czyli „ulicy pralniczej”. Z tego powodu Wellington od razu ochrzcił ich nowy dom „Pralnią”, który to żart bardziej przypadł do gustu księciu niż jego żonie. Po lewej stronie głównego wejścia mieściła się wielka jak stodoła hala, zapewne dawny salon wystawowy powoźnika. Wchodziło się tam przez kantorek, gdzie dawniej klienci wybierali tapicerkę i inne dodatkowe detale, lecz we wspomnieniach trzeciej córki Richmondów, lady Georgiany Lennox, pomieszczenie to przeobraziło się w „przedpokój”. Przestrzeń, w której dawniej wystawiano na pokaz powozy, wyklejono tapetą w rozpięte na trelażach róże i tak powstała sala w sam raz odpowiednia na bal.

Księżna Richmond zjechała na kontynent z całą rodziną, a ponieważ zwłaszcza dziewczęta od dawna marzyły o jakiejś atrakcji, zapadła decyzja o wydaniu przyjęcia z tańcami. Tymczasem na początku czerwca Napoleon, który już wcześniej uciekł ze swojego wygnania na Elbie, opuścił Paryż i wyruszył na poszukiwanie sojuszników. Księżna zapytała Wellingtona, czy wobec tego wypada jej kontynuować przygotowania, ten jednak zapewnił ją, że nic nie stoi na przeszkodzie. On sam wręcz sobie życzy, by

bal odbył się jako swego rodzaju demonstracja angielskiej zimnej krwi i dowód, że nawet panie nie przejmują się wymarszem francuskiego imperatora, a w każdym razie nie zamierzają z tego powodu odkładać zabawy. Ale oczywiście łatwo mu było mówić...

– Mam nadzieję, że to nie pomyłka – powtórzyła po raz dwudziesty w ciągu godziny księżna, patrząc uważnie w lustro. To, co zobaczyła, całkiem jej odpowiadało: przystojna kobieta nie pierwszej młodości, ubrana w kremową jedwabną suknię i wciąż zdolna przyciągać męskie spojrzenia. I te imponujące diamenty... chociaż przyjaciółki zastanawiały się po cichu, czy ze względu na konieczność oszczędzania nie zastąpiła oryginalnych kamieni replikami.

– Już za późno na takie gadanie. – Księża Richmond nieco bawiła ta sytuacja. Uważali wyjazd do Brukseli za coś w rodzaju ucieczki od świata, a tymczasem, ku ich zdumieniu, świat przybył tu razem z nimi. Teraz jego żona wydaje przyjęcie dla gości, którzy w Londynie raczej nie mogliby się u nich pokazać, i to akurat w chwili, kiedy w mieście słychać już huk francuskich armat. – Obiad był wyśmienity, chyba nie dam już rady kolacji.

– Dasz, dasz.

– Słyszę jakiś powóz. Powinniśmy schodzić.

Książę był zgodnym, serdecznym człowiekiem i czułym, uwielbianym przez dzieci ojcem. Miał też w sobie dość siły, by sprostać córce sławetnej księżnej Gordon, o której wyskokach od lat plotkowała cała Szkocja. Swego czasu wielu uważało, że mógł wybrać pannę o łatwiejszym charakterze, a co za tym idzie, zapewnić sobie łatwiejsze życie, lecz w sumie niczego nie żałował. To prawda, jego żona bez wątpienia była ekstrawagancka... ale miała dobry charakter, odznaczała się urodą i inteligencją. Cieszył się ze swojego wyboru.

W saloniku (czyli „przedpokoju” Georgiany), przez który przechodziło się do sali balowej, znajdowało się już kilkoro pierwszych gości. Floryści świetnie wywiązali się z zadania: wielkie kompozycje z blad różowych róż i białych lilii (ze specjalnie przyciętymi pręcikami, żeby pyłek nie ubrudził

paniom sukien) na tle wysokiej zieleni dodały dawnej powozowni szyku, podobnie jak migotliwy blask licznych kandelabrow, przy którym wszystko wygladalo nieco korzystniej niz za dnia.

Siostrzeniec ksieznej, Edmund wicehrabia Bellasis, rozmawial wlasnie z Georgiana. Po chwili podeszli razem do jej rodzicow.

– Kim sa ci ludzie, ktorych zaproszenie wymusił na was Edmund? – chciala wiedziec Georgiana. – Dlaczego ich nie znamy?

– Poznasz ich na balu – ucial lord Bellasis.

– Nie jesteś zbyt przystepny – skrzywila sie Georgiana.

Ksiezna, ktora miala swoje podejrzenia, zdazyła juz pozalowac okazanej wielkoduszności.

– Mam nadzieje, ze twoja matka nie pogniewa sie na mnie. – Dala mu te zaproszenia odruchowo, ale wystarczyła chwila refleksji, by sie domyslic, ze siostra bedzie zła, i to bardzo.

W tym momencie, jakby na zawołanie, rozległ sie głos szambelana:

– Pan Trenchard z małzonką. Panna Sophia Trenchard.

Ksiaze spojrzal w strone drzwi.

– Chyba nie zaprosilas Magika? – zwrócił sie do wyraźnie zaniepokojonej zony. – To główny dostawca Wellingtona, co on tu robi?

Ksiezna wbila w siostrzenca surowy wzrok.

– Dostawca ksiecia Wellingtona? Zaprosilam na swój bal jakiegoś kupczyka?

Lord Bellasis nie poddawal sie tak latwo.

– Droga ciociu, zaprosilas jednego z najbardziej lojalnych i skutecznych popiecznikow ksiecia w jego walce o zwyciestwo. Kazdy porządný Brytyjczyk byłby dumny, mogąc przyjac go w swoim domu.

– Wyprowadziles mnie w pole, Edmundzie. A ja tego bardzo nie lubie. – Ale mlody czlowiek ruszył juz na powitanie nowo przybylych, więc gniewne spojrzenie ksieznej trafilo na jej meza.

– Nie patrz na mnie z taką złością, moja droga – rzekł, wyraźnie ubawiony jej miną. – To nie ja ich zaprosiłem, tylko ty. I muszę przyznać, że dziewczyna jest naprawdę ładna.

Przynajmniej to ostatnie się zgadzało: Sophia nigdy dotąd nie wyglądała tak pięknie.

Na dalszą dyskusję zabrakło czasu, gdyż Trenchardowie już się do nich zbliżali. Anna przemówiła pierwsza:

– Jak to uprzejmie z pani strony, księżno.

– Drobnostka, pani Trenchard. Słyszałam, że okazuje pani wiele względów mojemu siostrzeńcowi.

– Zawsze z przyjemnością widzimy lorda Bellasisa.

Anna dokonała trafnego wyboru: w szafirowym jedwabiu, ozdobionym przez Ellis wytworną koronką, prezentowała się bardzo dystyngowanie, a choć jej diamenty nie mogły rywalizować z innymi na tej sali, i tak budziły należyty respekt.

Księżna zdążyła się już nieco udobruchać.

– To trudny czas dla młodych mężczyzn – zauważyła pojednawczo. – Tak daleko od domu...

James tymczasem zastanawiał się gorączkowo, czy do księżnej nie należy zwracać się „Wasza Księżęca Mość”. Chociaż podczas rozmowy z Anną nikt nie wyglądał na urażonego, nadal nie był pewien, i właśnie miał coś powiedzieć...

– No proszę, przecież to Magik! – zawołał rozpromieniony książę Richmond. Jeśli nawet widok tego handlarza we własnym salonie go zaskoczył, nie dał po sobie nic poznać. – Pamiętasz o naszych planach na wypadek powołania rezerwistów?

– Pamiętam doskonale, Wasza... to znaczy pamiętam ten harmonogram. Proszę księcia. – Ostatnie dwa słowa wymówił po krótkiej pauzie, tak że nie łączyły się z poprzednią wypowiedzią. Jamesowi wydało się nagle, że wrzucił kamyczek do spokojnej wody. Na kilka sekund zapadła dziwna, krępująca cisza. Ale żona leciutkim uśmiechem i skinieniem głowy dodała

mu otuchy, inni zaś nie wyglądali na urażonych, więc mógł odetchnąć z ulgą.

Anna uznała, że powinna się wtrącić:

– Pozwolę sobie przedstawić moją córkę Sophię. – Sophia dygnęła przed księżną, która zmierzyła ją wzrokiem, jakby kupowała udziec sarni na obiad, czym oczywiście nigdy się nie splamiła. Zauważyła, że panienka jest ładna i ma nawet sporo wdzięku, no ale wystarczyło rzucić okiem na jej ojca, by uświadomić sobie jasno, że rzecz nie wchodzi w rachubę. Drętwiała ze strachu na myśl, że kiedy siostra dowie się o zaproszeniu, oskarży ją o sprzyjanie młodym. Lecz przecież Edmund nie może mieć poważnych zamiarów? To rozsądny chłopiec i nigdy dotąd ani przez chwilę nie sprawiał kłopotów.

– Panno Trenchard, czy pozwoli pani odprowadzić się do sali balowej? – Składając tę propozycję, Edmund zachowywał kamienny wyraz twarzy, ale ciotki nie oszukał; zbyt dobrze znała się na światowych obyczajach, żeby dać się nabrać na ten pokaz obojętności. Prawdę rzekłszy, serce jej zamarło, kiedy zobaczyła, jak dziewczyna wsuwa mu dłoń pod ramię i odchodzą razem na bok, gawędząc ścisłym głosem niczym dobrzy znajomi.

– Major Thomas Harris. – Przystojny młody człowiek skłonił się lekko gospodarzom, kiedy Edmund wymienił jego nazwisko.

– Harris! Co za niespodzianka!

– Należy mi się chyba jakaś rozrywka – odrzekł oficer, uśmiechając się do Sophii, która roześmiała się z taką swobodą, jakby należeli do tej samej sfery. Potem ona i Edmund ruszyli w stronę sali balowej, odprowadzani wzrokiem jego zaniepokojonej ciotki. Musiała przyznać, że ładna z nich para: delikatna uroda jasnowłosej Sophii podkreślała czern kędziorów Edmunda i jego rzeźbione rysy wraz z twardą linią ust, rozciągniętych teraz w uśmiechu nad podbródkiem z dołkiem. Wymieniła spojrzenia z mężem; oboje wiedzieli, że sytuacja lada moment wymknie się spod kontroli. Być może już się wymknęła.

– Pan James i lady Frances Wedderburn-Webster – zaanonsował szambelan i księżę wysunął się do przodu, aby powitać nowych gości.

– Lady Frances, jak ślicznie pani wygląda! – Zauważył niespokojne spojrzenie żony. Cóż oni, Richmondowie, mogliby jeszcze zrobić w sprawie tej zakochanej pary? Ale pochylił się ku niej i szepnął na pociechę: – Pomówię z nim później. Na pewno otrzeźwieje, tak jak zawsze.

Księżna pokiwała głową. Tak właśnie należy postąpić. Poczekać, aż bal się skończy, dziewczyna odjedzie, i wtedy spokojnie wszystko rozważyć. Nagle przy drzwiach wybuchło poruszenie i znów zabrzmiał dźwięczny głos szambelana:

– Jego Królewska Wysokość książę Orański.^[3]

Do gospodarzy zbliżył się młody człowiek o miłej powierzchowności. Księżna, z plecami prostymi, jakby kij połknęła, złożyła przed nim głęboki dworski ukłon.

Książę Wellington pojawił się dopiero przed samą północą, ale wyraźnie uznał to za coś naturalnego. Rozejrzawszy się bacznie po sali, od razu ruszył w stronę Trencharda, ku jego ogromnej satysfakcji.

– Cóż to sprowadza Magika na bal? – spytał.

– Jej Książęca Mość raczyła nas zaprosić.

– Naprawdę? I bardzo dobrze. No i jak się bawicie?

– Och, świetnie, Wasza Książęca Mość. Ale wszyscy mówią, że Bonaparte jest coraz bliżej.

– Tak mówią? Na Jowisza... Czy słusznie się domyślam, że ta urocza dama to pani Trenchard? – Niewątpliwie był bardzo opanowany.

Nawet Annę zawiodły nerwy, kiedy musiała zwrócić się do niego oficjalnie:

– Spokój Waszej Książęcej Mości bardzo podnosi nas na duchu.

– Tak właśnie być powinno – odparł ze śmiechem, odwracając się do jednego z oficerów w pobliżu: – Ponsonby, znasz już Magika?

– Oczywiście, książę. Sporo czasu spędzam pod drzwiami gabinetu pana Trencharda, czekając na okazję, by wstawić się za moimi ludźmi. – Ale mówiąc to, uśmiechał się.

– Pani Trenchard, pozwoli pani, że jej przedstawię: sir William Ponsonby. Ponsonby, to jest małżonka Magika.

Ponsonby skłonił się lekko.

– Mam nadzieję, że panią traktuje lepiej niż mnie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, podeszła do nich córka Richmondów, Georgiana.

– Sala aż huczy od plotek.

Wellington pokiwał smętnie głową.

– Rozumiem, rozumiem.

– Ale czy są prawdziwe? – Georgiana Lennox była przystojną panną o otwartej twarzy, a jej zniecierpliwienie podkreśliło jedynie szczerść pytania i świadomość wiszącego nad nimi zagrożenia.

Patrząc jej prosto w oczy, książę po raz pierwszy odpowiedział z powagą:

– Obawiam się, że tak, lady Georgiano. Wygląda na to, że jutro ruszamy w bój.

– Jakże to straszne. – Obróciła się w stronę wirujących na parkiecie par. Większość młodych ludzi w mundurach wymieniała żarciki, śmiejąc się z nich razem z partnerkami. Ilu przeżyje nadciągającą potyczkę?

– Co za ciężkie brzemie książę musi dźwigać... – Anna Trenchard też patrzyła na tańczących mężczyzn. – Niektórzy z nich zginą w najbliższych dniach, a skoro mamy wygrać tę wojnę, nawet pan nie może temu zapobiec. Doprawdy, nie zazdroszczę panu.

Wellingtona przyjemnie zaskoczyła ta uwaga w ustach żony dostawcy, kobiety, której istnienia dotąd sobie prawie nie uświadamiał. Nie każdy pojmował, że nie tylko chwała jest jego udziałem.

– Dziękuję pani za tę myśl.

W tym momencie rozmowę przerwał im przenikliwy jazgot kobz i na salę wkroczyli Szkoci z oddziału piechoty Gordona. Było to *coup de théâtre* księżnej, która wyblagała je sobie u dowódcy pod pretekstem, że w jej żyłach płynie krew Gordonów. Ponieważ oddział ten założył dwadzieścia lat wcześniej jej nieżyjący ojciec, wódz raczej nie mógł jej odmówić.

Historia nie odnotowała, co naprawdę sądził o angażowaniu swoich ludzi w charakterze głównej atrakcji balu w przeddzień bitwy, która miała zdecydować o losach Europy. Tak czy inaczej, występ kobziarzy rozgrzał serca obecnych na balu Szkotów i dostarczył rozrywki ich angielskim sąsiadom, cudzoziemcy jednak nie kryli zdumienia: księżę Orański wymienił pytające spojrzenia z adiutantem, krzywiąc się przy tym na ogłuszający hałas. Ale Szkoci zaczęli już wirować w narodowym tańcu, swoim zapalem i potęgą skocznych rytmów szybko zarażając pozostałych. Wkrótce nawet wzięci z zaskoczenia księżęta niemieccy zaczęli wiwatować, klaszcząc do taktu.

Anna odwróciła się do męża.

– Jakie to przykre, że oni wszyscy przed upływem miesiąca staną w obliczu wroga!

– Miesiąca? – James uśmiechnął się gorzko. – Raczej tygodnia...

Ledwie to wypowiedział, drzwi otworzyły się z impetem i do sali wpadł młody oficer. Nie bacząc na zabłocone buty, rozglądał się pilnie wokoło, póki nie wypatrzył swojego dowódcy, księcia Orańskiego. Skłoniwszy się przed nim, podał mu kopertę, czym natychmiast zwrócił na siebie uwagę całego towarzystwa. Księżę wstał i ruszył przez salę do księcia, ale kiedy przekazał mu wiadomość, ten schował kopertę do kieszeni kamizelki, nawet jej nie otwierając, gdyż szambelan akurat zapowiedział kolację.

Anna mimo złych przeczuć zdobyła się na uśmiech.

– Godne podziwu opanowanie! Przecież to może być wyrok śmierci na jego armię, ale on gotów jest raczej postawić wszystko na jedną kartę, niż pozwolić sobie na najmniejszą oznakę niepokoju.

James nie mógł się z nią nie zgodzić.

– Niełatwo go poruszyć, to pewne. – Zauważył zmarszczone brwi żony. W tłumie zmierzającym do jadalni była Sophia, której nadal asystował wicehrabia Bellasis.

Anna starała się powściągnąć niecierpliwość.

– Powiedz jej, żeby usiadła do kolacji z nami albo ostatecznie z kimś innym.

– Sama jej to powiedz.

Skinęła głową i podeszła do młodej pary.

– Widzę, że Sophia całkiem pana zawłaszczyła, milordzie. Nie można na to pozwalać. Na pewno ma pan tu wielu przyjaciół, którzy chętnie posłuchają pańskich nowin.

Ale młody człowiek uśmiechnął się tylko.

– Bez obawy, pani Trenchard. Jestem tu, gdzie chcę być.

W głosie Anny pojawił się ton determinacji:

– To znakomicie, milordzie – odparła, uderzając raz po raz zwiniętym wachlarzem o dłoń – ale Sophia musi dbać o swoją reputację, a przez nadmiar pańskich łaskawych względów może ją utracić.

Jeśli miała nadzieję, że córka się nie odezwie, to się pomyliła.

– Nie martw się o mnie, mamó. Mogłabyś choć raz zaufać, że mam odrobinę rozsądku.

– Chciałabym. – Anna traciła cierpliwość do swojej głupiutkiej, zakochanej córki o nadmiernej ambicji. Ale wyczuła, że kilka par już się im przygląda, więc wołała się raczej wycofać niż dać się przyłapać na kłótni z własnym dzieckiem.

Nieco wbrew życzeniom męża wybrała spokojniejszą stronę stołu, wśród paru oficerów z żonami obserwującymi lepsze towarzystwo pośrodku. Wellington siedział między lady Georgianą Lennox a jakimś olśniewającym stworzeniem w głęboko wydekoltowanej sukni koloru nieba o północy, haftowanej srebrną nicią, i oczywiście w garniturze wspaniałych diamentów. Dama śmiała się cichutko, ukazując oślepiająco białe zęby, i od czasu do czasu zerkła na księcia z ukosa spod ciemnych rzęs.

– Kim jest ta pani po prawej ręce księcia? – spytała Anna męża.

– To lady Frances Wedderburn-Webster.

– Oczywiście! Przyszła tuż po nas. Wydaje się bardzo pewna zainteresowania księcia.

– Ma po temu wszelkie powody. – James mrugnął nieznacznie do Anny, ta zaś przyjrzała się damie z większą ciekawością. Nie po raz pierwszy zastanawiała się, jak groźba wojny i bliskość śmierci wzmagają apetyt na korzystanie z życia. Wiele par na tej sali ryzykowało swoją reputacją i nawet przyszłym szczęściem, byle tylko zaznać odrobiny radości, zanim rozdzieli je głos trąbki bojowej.

Przy drzwiach wszczął się jakiś ruch, więc Anna skierowała wzrok w tamtą stronę. Posłaniec, którego widzieli wcześniej, wrócił, nadal w tych samych zabłoconych butach, i znów podszedł do księcia Orańskiego. Porozmawiali przez chwilę, po czym książę ponownie odnalazł Wellingtona i coś mu szepnął na ucho. Teraz uwaga całego zgromadzenia jeszcze bardziej się wyostrzyła i ogólna rozmowa zaczęła przygasać. Wellington wstał. Zamienił parę słów z księciem Richmondem, po czym obaj panowie skierowali się do wyjścia, ale nagle wódz przystanął. Rozejrzał się wokoło i ku zaskoczeniu Trenchardów oraz osób zebranych przy ich stole podszedł prosto do Jamesa.

– Ty, Magiku. Pozwól no z nami, dobrze?

James zerwał się na równe nogi, w jednej chwili zapominając o kolacji. Przy obu wysokich mężczyznach wyglądał jak mały pulchny dzoker między dwoma królami, bo też istotnie nim był, z czym Anna musiała się pogodzić.

Jej sąsiad z naprzeciwka nie krył podziwu:

– Pani mąż najwyraźniej cieszy się zaufaniem księcia.

– Na to wygląda. – Naprawdę była z niego dumna, co ją samą mile zaskoczyło.

Kiedy otworzyli drzwi do garderoby, wpadli na pokojowca, który właśnie układał na łóżku nocną koszulę pana. Służący podniósł na nich zdumiony wzrok, by znienacka znaleźć się przed obliczem samego naczelnego wodza.

– Możesz nas zostawić na chwilę samych? – spytał Wellington, a pokojowiec o mało się nie zatchnął, biorąc nogi za pas. – Ma pan porządną mapę tego terenu?

Richmond przytaknął i wyciągnąwszy z półki opasły tom, otworzył go na Brukseli i najbliższej okolicy. Wellington zaczął już zdradzać furję, którą podczas kolacji udało mu się tak dobrze ukryć.

– Napoleon wystrychnął mnie na dudka! Księżę Orański dostał drugą wiadomość, tym razem od barona Rebecque. Bonaparte ciągnie z Charleroi prosto na Brukselę i jest coraz bliżej. – Pochylił się nad mapą. – Wydałem rozkaz koncentracji wojsk przy Quatre Bras, ale tam go nie zatrzymamy.

– To się da zrobić. Do świtu jeszcze kilka godzin... – Richmond nie wierzył w swoje własne słowa bardziej niż wielki książę.

– Jeśli się nie da, będę musiał przyjąć tam bitwę.

James wyciągnął szyję nad mapą. Kciuk księcia spoczywał na małej miejscinie Waterloo. Wydało się czymś dziwnie nierealnym, że w jednej chwili jadł spokojnie kolację w jakimś bliżej nieokreślonym kącie, a w następnym stał w garderobie Richmonda, razem z nim i naczelnym wodzem, w samym środku wypadków, które miały odmienić życie ich wszystkich.

Nagle przypomniał sobie o nim Wellington.

– Potrzebuję twojej pomocy, Magiku. Rozumiesz? Będziemy w Quatre Bras pierwsi, a potem prawie na pewno w... – tu sprawdził nazwę na mapie – Waterloo. Dość dziwna nazwa jak na miejsce, które przejdzie do historii.

– Tylko Wasza Księżęca Mość potrafi to sprawić. – James miał stosunkowo prosty system wartości; rzadko przepuszczał okazję, by się komuś przypochlebić.

– Ale czy masz wystarczająco dużo informacji? – Wellington był zawodowym żołnierzem, a nie amatorskim partaczem, i za to James go podziwiał.

– Tak, proszę być spokojnym. Nie przegramy z powodu braku zaopatrzenia.

Wellington spojrzał na niego z uśmiechem.

– Bystry z ciebie gość, Trenchard. Wykorzystaj ten talent po zakończeniu wojny, a z pewnością daleko zajdziesz.

– Wasza Książęca Mość jest bardzo uprzejmy.

– Tylko nie rozpraszaaj się błyskotkami socjety. Jesteś na to za mądry... przynajmniej tak miemam, i wart znacznie więcej niż te fircyki z sali balowej. Nie zapominaj o tym. – Zupełnie jakby jakiś głos mówił mu do ucha, że oto nadeszła godzina próby. – Dosyć. Trzeba się zbierać.

Kiedy stamtąd wyszli, w całym towarzystwie aż wrzało, więc od razu zrozumieli, że wiadomość już się rozeszła. W przesyconych zapachem kwiatów pokojach, które na początku wieczoru budziły podziw swoim eleganckim wystrojem, rozgrywały się teraz rozdierające sceny pożegnania. Matki i młode panienki jawnie szlochały w ramionach swoich synów, braci, mężów i ukochanych, wyzbywszy się wszelkich pozorów zimnej krwi. Ku zdumieniu Jamesa orkiestra wciąż grała, co więcej, kilka par kontynuowało taniec, chociaż trudno było to pojąć, zważywszy na panującą wokoło konsternację i smutek.

Anna podeszła do męża, zanim zdołał odnaleźć ją w tym tłumie.

– Powinniśmy już wychodzić – rzekł. – Muszę iść prosto do składów. Wsadzę was do powozu, a sam pójde pieszo.

– To ostateczna bitwa?

– Kto wie? Tak przypuszczam. Od lat każdą potyczkę uważamy za ostatnią, ale tym razem może to być prawda. Gdzie Sophia?

Zobaczyli ją w holu, gdzie szlochała w ramionach lorda Bellasisa. Anna dziękowała Bogu, że w ogólnym zamieszaniu nikt nie zważał na tę niedyskrecję. Bellasis szepnął coś Sophii do ucha i przekazał ją matce.

– Proszę się nią zaopiekować.

– To właśnie zwykle robię – odparła Anna, nieco poirytowana tą bezczelnością. Ale smutek rozłąki sprawił, że młody człowiek nie zauważył jej tonu. Obrzuciwszy ostatnim spojrzeniem obiekt swoich uczuć, przyłączył się śpiesznie do grupy oficerów. James odnalazł okrycia i szale swoich pań, a potem tłum zaczął ich popychać ku wyjściu. Księżnej nie było nigdzie widać, więc Anna zrezygnowała z poszukiwań i postanowiła

napisać do niej rano, przyjąwszy, że w takim momencie gospodyni nie będzie przywiązywać wielkiej wagi do towarzyskich konwenansów.

Wreszcie z holu wyszli na ulicę. Tam też panował ścisk, ale mniejszy niż w domu. Kilku oficerów siedziało już na koniach. Anna wypatrzyła w tym zamieszaniu Bellasisa. Także i jemu służący przyprowadził właśnie wierzchowca i przytrzymał go do wsiadania. Lord przeczesywał wzrokiem tłum, wyraźnie kogoś szukając, ale jeśli chodziło mu o Sophię, nie zdołał przyciągnąć jej uwagi. I w tym właśnie momencie Anna usłyszała, jak ktoś za jej plecami gwałtownie wciąga powietrze. Córka wpatrywała się jak zahipnotyzowana w grupę żołnierzy poniżej.

– O co ci chodzi? – zapytała, bo nie rozpoznała żadnego z nich, ale Sophia kręciła tylko głową – trudno powiedzieć, ze zgrozy czy ze smutku. Matka objęła ją za ramiona. – Wiesz, że musimy już iść...

– To nie to... – Sophia wyraźnie nie mogła oderwać oczu od grupki umundurowanych mężczyzn szykujących się już do wymarszu. Nagle zadygotała, a z jej piersi wydobył się tak potworny szloch, że zdawał się rozrywać jej duszę na strzępy.

– Moja droga, musisz bardziej nad sobą panować... – Anna rozejrzała się wokoło, sprawdzając, czy nikt ich nie widzi. Jej córka najwyraźniej traciła zmysły z rozpaczy. Trzęsła się jak w febrze, po policzkach spływały jej strumienie łez. Matka zrozumiała, że pora działać. – Idziemy stąd. Szybko. Musimy się wycofać, zanim ktoś cię rozpozna.

Razem z mężem pociągnęli roztrzęsioną dziewczynę wzdłuż rzędu powozów, a kiedy wreszcie odnaleźli swój, wepchnęli ją do środka. Potem James odszedł, ale minęła godzina, zanim udało im się wyjechać spośród stłoczonych pojazdów i dotrzeć do domu.

Przez cały następny dzień Sophia nie opuszczała swojego pokoju, ale i tak nie miało to znaczenia, bo wszyscy w Brukseli siedzieli jak na szpilkach i nikt nie zwrócił uwagi na jej nieobecność. Czy wojska nieprzyjacielskie wtargną do miasta? Czy każda młoda kobieta jest w niebezpieczeństwie? Mieszkańcy byli w rozterce: czy w nadziei na

zwycięstwo mają zakopywać w ziemi kosztowności, by nie padły łupem maruderów, czy raczej spodziewać się klęski i od razu uciekać? Anna większość dnia spędziła na rozmyślaniach i modlitwie. James nie wrócił do domu. Przysłał tylko swojego człowieka po zmianę odzieży i koszyk z jedzeniem, a ona prawie się roześmiała, że główny dostawca sam potrzebuje zaopatrzenia.

Potem zaczęły napływać wiadomości o potyczce pod Quatre Bras. Księżę Brunszwiku zginął od strzału w serce. Anna przypomniła sobie ciemnowłosego mężczyznę o uwodzicielskiej urodzie, który zaledwie poprzedniego wieczora tańczył z księżną walca. Zanosi się na więcej takich wieści, zanim to wszystko się skończy. Rozejrzała się po salonie wynajętej willi. Wyglądał całkiem przyjemnie, jak dla niej – nieco zbyt okazale dla Jamesa – wręcz za skromnie, ze swoimi ciemnymi meblami, zasłonami z białej jedwabnej mory, wykończonymi na górze drapowanymi lambrekinami z frędzlą. Wzięła do rąk robótkę i zaraz ją odłożyła. Jak mogła teraz haftować, skoro kilka mil dalej trwała walka na śmierć i życie? Taki sam los spotkał książkę: Anna nie była w stanie skoncentrować się na fikcyjnej historii, kiedy okrutna akcja rozgrywała się na tyle blisko, że aż tu dobiegał ją huk dział.

Wszedł jej syn Oliver i rzucił się na fotel.

– Czemu nie jesteś w szkole?

– Kazali nam wracać do domów.

Anna pokiwała głową. No oczywiście, nauczyciele pewnie przygotowują się do ucieczki.

– Są jakieś wieści od ojca?

– Nie, ale nic mu nie grozi.

– Dlaczego Sophia leży w łóżku?

– Nie czuje się dobrze.

– To przez lorda Bellasisa?

Anna przyjrzała mu się uważnie. Co on wie o tych sprawach? Ma dopiero szesnaście lat i nawet nie otarł się jeszcze o socjetę.

– Oczywiście, że nie.

Ale syn tylko się uśmiechnął.

Anna zobaczyła męża dopiero we wtorek rano. Jadła właśnie śniadanie w swoim pokoju, chociaż zdążyła już wstać i się ubrać, kiedy stanął w drzwiach, okryty kurzem i zabłocony, jakby prosto z pola bitwy. Powitała go dość lakonicznie:

– Dzięki Bogu.

– Udało się! Bonio wziął nogi za pas. Ale nie wszyscy ocaleli.

– Tak się domyślam. Biedacy!

– Księżę Brunszwiku poległ.

– Słyszałam.

– Lord Hay, sir William Ponsonby...

– Och. – Ten łagodnie uśmiechnięty mężczyzna, który żartował z nią na temat stanowczości męża... – Jakie to smutne! Słyszałam, że część z nich zginęła w galowych mundurach, które włożyli na bal.

– To prawda.

– Musimy się za nich pomodlić. Mam wrażenie, że przez obecność na tym balu wytworzyła się między nami wszystkimi swego rodzaju więź.

– Rzeczywiście. Ale jest też ofiara, z którą więzi nie musisz sobie wyobrażać. – Spojrzała na niego wyczekująco. – To wicehrabia Bellasis.

– Och, nie! – Dłoń sama podniosła się jej do twarzy. – Czy to pewne? – Poczuła skurcz w żołądku... właściwie dlaczego? Trudno powiedzieć. Czyżby jednak istniał cień szansy, że Sophia miała rację, a teraz wszystko przepadło? Nie. To czysta fantazja, ale... Jakie to straszne.

– Byłem tam wczoraj. Znaczący na polu bitwy. Mimo wszystko to naprawdę obrzydliwy widok.

– Po coś tam jeździł?

– A niby po co, jak nie w interesach? – Od razu pożałował swojego kostycznego tonu. – Usłyszałem, że Bellasis jest na liście poległych

i poprosiłem, żeby pozwolono mi zobaczyć jego ciało. Dlatego jestem pewien. Co z Sophią?

Anna westchnęła.

– Od czasu balu wygląda jak cień. Niewątpliwie truchleje na myśl o wiadomości, którą teraz musimy jej przekazać. Lepiej, żeby dowiedziała się od nas niż od kogoś obcego.

– Sam jej powiem.

Zaskoczyło ją to. To nie był rodzaj obowiązku, do którego James zgłaszałby się na ochotnika.

– Myślę, że to moja rola. Jestem jej matką.

– Nie, ja to zrobię. Ty możesz przyjść później. Gdzie ona jest?

– W ogrodzie.

Wyszedł energicznym krokiem, zostawiając pogrążoną w zadumie żonę. Więc tak zakończy się szaleństwo Sophii: nie skandalem, chwalić Boga, tylko smutkiem. Dziewczyna nabiła sobie głowę marzeniami, James je wręcz podsycił, ale teraz wszystko obróci się w proch. Nigdy się nie dowiedzą, czy Sophia słusznie uważała, że Bellasis miał wobec niej poważne zamiary, albo czy to ona, Anna, była bliższa prawdy, on zaś traktował jej córkę jako uroczą laleczkę, z którą chciał się zabawić podczas stacjonowania w Brukseli. Przeniosła się na kanapkę w okiennej niszy. Ogród w dole utrzymany był w sztywnym, eleganckim stylu, wciąż podziwianym w Niderlandach, chociaż w Anglii dawno go porzucono. Sophia siedziała na ławce przy zwirowanej alejce, obok leżała zamknięta książka. Ojciec usadowił się przy niej i ujawszy jej rękę, zaczął mówić. Anna zastanawiała się, jakich słów użyje. Raczej się nie śpieszył, przemawiał łagodnie, przez kilka minut, aż nagle Sophia drgnęła, jakby ją kto uderzył. James wziął ją w ramiona, a ona zaczęła płakać. Anna wreszcie poczuła ulgę. Najwyraźniej mąż umiał się zdobyć na delikatność, tak konieczną w takiej sytuacji.

Później Anna zada sobie pytanie, dlaczego była wtedy taka pewna, że to już koniec historii Sophii. Ale kto lepiej od niej mógł wiedzieć, że

w pryzmacie perspektywy wszystko wygląda inaczej? Wstała. Pora zejść na dół i pocieszyć córkę, która z pięknego snu obudziła się właśnie w okrutnym świecie.

[1] Bal ten był faktem historycznym.

[2] Arthur Wellesley, książę Wellington (1769–1852) – zwycięzca w bitwie pod Waterloo, przejściowo (w roku 1834) premier Wielkiej Brytanii.

[3] Wilhelm Orański (1772–1843) – suwerenny książę Niderlandów w latach 1813–1815, potem (do roku 1840) król Wilhelm VI Zjednoczonych Niderlandów i wielki książę Luksemburga.